

## W kręgu atrakcji

**Atrakcja to — według słowników wyrazów obcych i potocznego rozumienia — coś, co swą niezwykłością przyciąga, zwłaszcza większą liczbę ludzi. Zdawałoby się zatem, że recepta na sukces frekwencyjny instytucji artystycznych jest prosta: atrakcyjne repertuary i programy działania, atrakcyjne nazwiska wykonawców. Byłby to pogląd nieco uproszczony, a recepta niekoniecznie skuteczna.**

Spróbujmy bowiem wyobrazić sobie taką idealną instytucję artystyczną, np. filharmonię z atrakcyjnymi programami i takimiż wykonawcami. Natychmiast nasuwa się pytanie: co to jest atrakcyjny repertuar? Uwzględniając warunek niezwykłości, należałoby repertuar ów zestawić poprzez zaprzeczenie repertuaru obiegowego, codziennego. Dla przykładu: nie gra się w jakimś ośrodku niemal wcale Vivaldiego czy Bacha — nasycimy więc programy muzyką baroku; muzyka współczesna pojawia się incydentalnie — zorganizujemy nieustający festiwal muzyki awangardowej! Czy będzie to niezwykle? A jakże! Czy atrakcyjne, tzn. przyciągające większą liczbę słuchaczy? Obawiam się, że nie, aczkolwiek osobiście bardzo bym tego pragnął. Przykład pustawych sal na recitalach rzadko grywanych przecież utworów fortepianowych Karola Szymanowskiego i to w roku jego imienia, obawy te potwierdza.

Nie znamy zupełnie upodobań muzycznych potencjalnego słuchacza. Gdybyśmy je poznali, mogłoby się okazać, że rozstrzelenie jest tu tak wielkie (ponoć gdzie dwóch Polaków tam trzy zdania), iż właściwie należałoby grać wszystko, by zadowolić wszystkich. I to, być może, zbliżyłoby nas do właściwego rozwiązania: maksymalnie szeroki repertuar uznanej klasyki ze stałą informacją orientującą w muzyce najnowszej.

Jeżeli przyjmiemy, że muzyka jest dla wszystkich, że filharmonie budowało się w naszym kraju nie dla garstki melomanów wykształconych muzycznie, wówczas wyłania się problem właściwej informacji. Recenzja muzyczna w odróżnieniu od teatralnej, filmowej czy wydawniczej, informuje o koncercie, który już się odbył i nie będzie powtórzony. Potencjalnemu słuchaczowi recenzja jako informacja przydatna jest jak przysłowiowa musztarda po obiedzie. O muzyce najskuteczniej poinformować można... samą muzyką, słowo może jedynie pomóc. Proponuję zatem naszej Rozgłośni PR muzyczne "streszczenia" zbliżających się koncertów; zestawienie najefektowniejszych fragmentów, najpiękniejszych tematów najbliższego programu w Filharmonii będzie najlepszą i najpełniejszą o nim informacją.

Wróćmy do atrakcji. Organizatorzy tycia koncertowego ponad sam program stawiają wykonawców. Spójrzmy na afisze: nazwiska dyrygenta, solistów wielkością liter przytłaczają nazwiska kompozytorów i tytuły ich dzieł, chociażby to były arcydzieła geniusza (tak najczęściej bywa) a wykonawcy nie grzeszyli talentem (tak bywa równie często). Martwy kompozytor nie może zaprotestować. Chodzimy więc raczej na wykonawców niż na określone dzieła? Tego też dokładnie nie wiemy. Faktem jest jednak, że na niektórych, zwłaszcza wybitnych wykonawców idziemy "w ciemno", bez względu na program. Ale jest także prawdą, że owi kasowi artyści doceniając kierowane ku sobie uwielbienie, na ogół nie raczą publiczności zupełnie nieznanym bądź bardzo trudnym repertuarem.

Niezwykli atrakcyjni wykonawcy... Jakże często z nazwiska pozostają tylko litery, jakże często nie chcemy lub nie potrafimy dostrzec, że król jest nagi. I na odwrót: są artyści nie zabiegający o sławę, nie mający "układów", "dojść", pogardzający niskimi chwytami reklamiarstwa. Są artyści patrioci, którzy mogliby zrobić wielką światową karierę, ale lepiej im w Polsce ze złotówkami, niż za granicą z dolarami. Czy potrafimy to należycie docenić? W ich artystycznych biografiach czytaliśmy o występach w Metropolitan Opera i Carnegie Hall; zostali — na szczęście dla nas — w kraju.

Są wreszcie artyści młodzi, dopiero startujący nieraz do światowej właśnie kariery. Ich nazwiska jeszcze nie są atrakcyjne, nie przyciągają więc tłumów. Potem, kiedy już wyjadą po światową sławę, staną się dla nas nieosiągalni, czasem bezpowrotnie. Dzisiaj na koncert Jacka Kasprzyka dyrygującego m.in. orkiestrami symfonicznymi w Londynie, Chicago, Paryżu, a obecnie podróżującego gdzieś między Japonią, Singapurem i Australią przyszłyby tłumy. A przecież zaczynał on swój start do wielkiej kariery kilka lat temu między innymi tak w Białymstoku. Wtedy nie stanowił jednak atrakcji.

Atrakcje — jak wszystko co dobre — aplikowane w większych dawkach, zdrowiu nie służą. Cóż by się stało, gdyby raz lub dwa razy w tygodniu bardzo atrakcyjne koncerty przyciągały tłumy słuchaczy? Wszak sala Filharmonii Białostockiej liczy tylko 460 miejsc. Czy tak powszechne atrakcje byłyby nimi w istocie? Może wówczas zapragnęlibyśmy koncertów po prostu zwyczajnych.

Takie refleksje nasunęły mi się w związku z ostatnim koncertem symfonicznym Państwowej Filharmonii w Białymstoku. Nie miał on ani szczególnie atrakcyjnych wykonawców, ani wyjątkowego programu a jednak podobał się. Przygotowany przez **Zbigniewa Szablowskiego**, drugiego dyrygenta Filharmonii, program nawiązywał do poprzedniego *Smutnym walcem* Jana Sibeliusa. Było to wykonanie wyważone, ale bynajmniej nie chłodne i szczęśliwie omijające pokusy czułościwej maniery. Dalsze trzy kompozycje wraz z fińskim początkiem złożyły się na urozmaiconą mieszankę międzynarodową.

Ideą tego programu (może zresztą przypadkową) było zestawienie charakterystycznych dla romantycznej formuły stylistycznej odrębności narodowych w muzyce. Usłyszeliśmy zatem *II Koncert klarnetowy Es-dur* Karola Marii Webera (jako reprezentację szkoły niemieckiej). *Fantazję węgierską* Franciszka Liszta i wreszcie w charakterze zwieńczenia — *II Suitę z baletu "Trójkątny kapelusz"* Manuela de Falli (szkoła hiszpańska).

Niedawno wspominałem o bardzo dobrych muzykach Filharmonicznej orkiestry. Należy do nich bez wątpienia klarnecista **Beniamin Przeździek**, który już niejednokrotnie z powodzeniem występował jako solista. Tym razem zyskał gorące przyjęcie efektownym wykonaniem *Koncertu* Webera. Życzliwie przyjęto również **Tadeusza Chmielewskiego**, świetnego kameralistę, niegdysiejszego stałego partnera Wandy Wiłkomirskiej. Jego interpretacji *Fantazji węgierskiej* Liszta brakowało wszakże nieodzownego w tym gatunku muzyki wirtuozowskiego polotu, swobody i fantazji. Była to gra nieco akademicka i nazbyt ostrożna, zwłaszcza w niektórych trudniejszych kadencjach solowych. Mogła się podobać, ale nie porywała, jak to winny czynić popisowe rapsodie węgierskiego tytana fortepianu. Nadspodziewanie dobrze natomiast wypadła orkiestra w soczystych tutti jak i w licznych w tym utworze partiach solowych. Był to przedsmak dobrej gry zespołu symfonicznego w barwnej, rozwibrowanej andaluzyjskimi i aragońskimi rytмами kompozycji de Falli. Zbigniew Szablowski prowadząc niełatwy przecież utwór z pamięci odniósł wraz z orkiestrą pełny sukces. Otrzymałmśmy interpretację oddającą wszystkie walory tej efektownej hiszpańskiej muzyki. Szablowski doskonale także prowadził orkiestrę w obu utworach koncertowych wspierając obu solistów pewnością swej ręki.

W sumie koncert bardzo udany, chociaż bez nadzwyczajnie, jak ostatnio, wzmocnionej orkiestrowej obsady. Dla tych, co znaleźli się w Filharmonii, mógł wydać się nawet atrakcyjny. Żywa muzyka jest zawsze nie-  
spodzianką.

**STANISŁAW OŁĘDZKI**